DZIAŁ BELETRYSTYCZNY

Nr. 2

SIERPIEŃ — WRZESIEŃ 1935.

Amelja Łączyńska — Dachy płoną. Powieść ziemiańska z ostatniej doby (d. c.).

DACHY PŁONĄ.
POWIEŚC ZIEMIAŃSKA Z OSTATNIEJ DOBY.

Historja pani Aliny.

Panna Alina Skibówna była sierotą bez posagu, wychowana u wuja swego w Lwowie. Była bardzo piękna i miała ogromne powodzenie na balach, piknikach i wieczorkach, tańczyła z zapałem, lubiła się bawić; miała też kilku starających się, ale jakoś nikt nie przypadł jej do gustu. Było jej tak dobrze w domu wujostwa, gdzie ją kochano, jak córkę rodzoną, tyle miała zajęcia i pracy poza domem, uczęszczała jako hospitantka na uniwersytet, zajmowała się ochronkami i szpitalikami dziecinnymi, że nie myślała zupełnie o porzuceniu tego życia, w którem czuła się w pełni szczęśliwa. Tuż przed wojną poznała Karola Przybyłowskiego. Był to studencina 18-letni, w mundurku jeszcze gimnazjalnym. Rodzice przysyłali go na lekcje tańca, które ciotka złożyła w swoim domu dla najmłodszej córki Maryli. Trzy razy w tygodniu, o piątej popołudniu, schodziło się do dużego salonu pp. Prusińskich młode gronko, sześciu czy siedmiu studentów gimnazjalnych i tyleż podlotków w krótkich sukienkach. Mistrz tańca, żwawy pan Rozen, posuwistym krokiem przebiegał salon, patrząc to w lewo, to w prawo, podlotki kręciły się na korkach i śmiały, zasłaniając warkoczami, studenci wytrzeszczali oczy lub mówili sobie do ucha dość śmiałe spostrzeżenia.

Karol był ze wszystkich najniezgrabniejszym. Tańce, to była tortura dla jego nóg. Nieśmiały, usuwał się zawsze pod ścianę; wyłowiony przez pana Rozena, czerwony jak burak i zły, wychodził za nim

na środek i wciągnięty przez niego w taniec, deptał mu po nogach. Sztywny, padał niemal naprzód. Żadna z podlotków nie chciała z nim tańczyć. Panna Alinka, która zawsze ze szczerej ochoty i wesołości udział w lekcjach brała, zauważyła odosobnienie Karola i wkrótce z całym impulsem serca, gotowa zawsze do roztaczania macierzyńskiej opieki tam, gdzie jej było potrzeba, zajęła się chłopcem. Uczyła go tańczyć z cierpliwością i niewyczerpaną nigdy pogodą. Chłopak rumienił się, wstydził, pomrukiwał. Lecz czar wesołych, troskliwych oczu panny Aliny zaczął działać. Lody tajały, niedźwiadek oswajał się. Z początku nieufny i zły, potem wdzięczny, że panna już tak wyrobiona, tak piękna i o takiem powodzeniu, zechciała na niego zwrócić uwagę, patrzał na nią z zachwytem, niemal z uwielbieniem, a w końcu obudziło się w nim męskie samopoczucie. Jeśli taka panna zajęła się nim, a więc i on ma jakieś wartości, większe, jak te wszystkie smyki, tutaj zebrane! I z tą chwilą zakiełkowania w nim miłość. Wzrastała powoli i obejmowała go całego, rosła i potężniała, zalała falą całe jego jestestwo. Chodził jak nieprzytomny i liczył godziny, które go dzieliły od najszczęśliwszych lekcji tańca. Kolana uginały się pod nim ze wzruszenia i radości, kiedy obejmował ją ramieniem przy walcu, ale obejmował ją śmiało, z radością i dumą, jakby ją brał w posiadanie. Nogi jednak plątały mu się zawsze i takt mylił ustawicznie, a ona pogodnie i wyrozumiale patrzyła na jego dziecinną jeszcze, pucołowatą twarz i mówiła wesoło:

— Panie Karolu, coraz lepiej, jeszcze trochę uwagi, a będzie pan tańczył doskonale!

— Ja tylko z panią potrafię tańczyć, z nikim innym — odpowiadał.

I tak już zawsze razem tańczyli. A na ostatnią lekcję przybył Karol naładowany cały jedną myślą:

„Dziś ostatnia lekcja, dziś muszę jej coś powiedzieć, bo stracę ją na zawsze, a tracić jej nie chcę, nie mogę, bo to byłoby to samo, co stracić życie, a ja żyć będę i muszę ją widywać!“.

Gdy więc pan Rozen zakomenderował: Walczyk! — a od fortepianu podniosły się miękkie, rytmiczne tony, podszedł nieco sztywniej, niż zwykle, do panny Aliny, objął ją ramieniem i odrazu z miejsca wypalił ochrypłym głosem:

— Panno Alino, dziś ostatnia lekcja tańca, ale nie mogę przestać pani widywać, gdyż to równałoby się mojej śmierci!

Panna Alina zatrzymała się nagle w tańcu i spojrzała zdumiona na niego. Teraz dopiero, z tej twarzy o napiętych muskułach i z jasnych oczu, które, jak dwa sztylety, wwiercały się w jej oczy, zrozumiała wszystko. Ciepła fala krwi przypłynęła jej do serca: Ten chłopak mnie kocha i cierpi!

— Dobrze, będziemy się widywać, panie Karolu. Niech pan przychodzi do wujostwa, od szóstej zwykle zastanie mnie pan w domu.

I Karol przychodził, a ona też powoli dawała się brać temu ciepłu, co biło od niego żarem; i ona tajała, aż wkońcu spostrzegli się, że do siebie należeć muszą. On kochał ją, jak prawdziwy student, zapamiętale, bez miary. Ona spokojnie i czule ogarniała go swojem pewnem, głębokiem, raczej macierzyńskiem sercem. Taka kobieta, jak ona, inaczej kochać nie potrafi. I zaręczyli się przed samą wojną, na wiosnę. Wszyscy wokoło, a najbardziej wujostwo, zdumiewali się, że odpaliwszy tyle partji, wybrała sobie takiego żółtodzióba. Inni zaś posądzali ją wprost, że go złapała dla majątku, gdyż rodzice Karola uchodzili za zamożnych. Ale ona nie zważała na docinki, nic nie zdołało ją z pogody i równowagi wyprowadzić, cała jej uwaga skierowana by-

ła teraz na to, aby jeszcze dochować Karola. Trzeba było z chłopca rozwinąć go w dorosłego i ukształconego mężczyznę.

Gdy Rosjanie mieli zajmować Lwów, wszyscy przenieśli się do Krakowa. Ona wpłynęła na Karola, że zdecydował się na rozłąkę i pojechał do Wiednia na Boden-Kultur. W drugim roku wojny powołali go do wojska. Ślub wzięli, gdy przybył na krótki urlop z frontu. Promieniał szczęściem i męską dumą. Wyglądał już jak wyrobiony i dojrzały przeżyciami wojennemi! Cicha uroczystość odbyła się w kościele Kapucynów. Tworzyli piękną parę: ona, pełna kobiecego czaru, chyliła głowę w białym welonie, on prężył pierś w siwym mundurze i wysoko wznosił jasne czoło, pełen poczucia męskiej władczości i dumy posiadania...

Ojciec Karola umarł w czasie wojny, pozostawiając synowi Iwanówkę, z obowiązkiem utrzymywania matki, a córce młodszej realność we Lwowie. Obie panie zamieszkały na stale w mieście. Tak więc jasno sprawy majątkowe załatwione zostały. Gdy okupacja rosyjska cofnęła się poza granice byłej Galicji, pośpieszyła pani Alina sama do Iwanówki, aby dźwignąć gospodarstwo z ruiny. Oczywiście, zastała spustoszenie wielkie. Nie było ani jednej sztuki inwentarza żywego, a martwy po największej części został również rozgrabiony. Kilka budynków na folwarku zawaliło się, a w śpichlerzu były pustki zupełne. Wielkiej wymagało pracy, umiejętności i poświęcenia to dźwiganie, szczebel po szczeblu, zrujnowanego warsztatu.. Ale panią Alinę nie zniechęcały żadne trudności. Poświęcanie się i praca dla ukochanych były największą jej radością. Nie było tak ciężkich warunków, przed którymi cofnąćby się potrafiła. Zamieszkała w jednym zimnym pokoju we dworze, gdzie poza tem wszystkie szyby były

wybite, a drzwi wywalone z zawiasów, a odrapane mury robiły wrażenie rozpaczliwe.

Przyjęła ekonoma, dostała jeńców do roboty, kupowała na nowo inwentarz. Obsiała trochę pól i pierwszą stworzyła podstawę do odbudowy. A potem przyjechał mąż, uwolniony na czas jakiś z wojska dla gospodarowania i już pracowali razem, choć jeszcze dwukrotnie, w czasie ukraińskich ruchawek i bolszewickiej wojny, opuszczać musieli placówkę, ale natychmiast potem wracali do niej i nie dali upaść gospodarstwu. Zmniejszyli obszar, aby dokupić stracone inwentarze, odrestaurować dom i osiedlili się już na stałe.

Po wojnie pani Alina wymogła jeszcze na mężu, aby dokształcił się trochę w rolnictwie. Odbył więc parę praktyk, zwiedzał zagranicą kilka wzorowych gospodarstw, dużo rolniczych książek przeczytał, mimo więc, iż studjów swoich nie dokończył, obznajmił się ze wzorowemi metodami gospodarczemi i uchodzi zawsze za jednego z najlepszych gospodarzy w powiecie kamienobrodzkim.

W dużej mierze zawdzięczał swe powodzenie pani Alinie. Rzadko spotyka się osobę, tak szczęśliwie udarowaną od natury. Wszystko, czego tkną jej czarodziejskie ręce, udaje się jej. Ma tajemniczo-mistyczny dar mnożenia wszystkiego wkoło siebie. Każda rzecz żywa rośnie i rozwija się pod jej cudotwórczą ręką, czy jarzyny w ogrodzie, czy pisklęta w kurniku, czy świnki w chlewkach, czy cielęta — wszystko mnoży się i buja. A oczywiście w pierwszym rzędzie stosuje się to do jej własnego rodzaju. Urodziła sześcioro dzieci, jedno tylko umarło, jako niemowlę, tamtych pięcioro rośnie zdrowo, wspaniale rozwijając się fizycznie. Gdyby nie zdrowy rozsądek pana Karola, z chęcią urodziłaby pani Alina z tuzin jeszcze dzieciaków. Tak łatwo od-

bywała ciążę, z taką radością karmiła swoje dzieci i tyle zawsze miała dla nich pokarmu. A potem wychowanie nic ją nie męczyło, nie trapiła się nigdy, nawet chorobą dzieci, pogoda jej i ufność w życie zawsze były i są niezamącone. Pozwalała naturze bujać, a sama tylko zdala czuwała, aby nic w tym wzroście nie przeszkadzało i nie tamowało natury.

Ta sama ciepła, macierzyńska fala rozlewała się szeroko w koło niej. Obejmowała dzieci służby na czworakach i biednych na wsi i wszystkich cierpiących, dlatego działała także dużo społecznie. Wolała wprawdzie pani Alina pracować w swem otoczeniu bez rozgłosu, do którego nie przywiązywała najmniejszej wagi, ale, jak to zwykle bywa, ludziom czynnym narzuca ogół próżniaków dalsze obowiązki, więc też i ją wybrały sąsiadki przewodniczącą Koła Ziemianek. Podjęła się tego, bo nie widziała powodu odmowy, a przez swoją umiejętność załatwiania wszystkiego szybko i dobrze znajdowała czas i pracę społeczną nawet przy swoich licznych domowych obowiązkach.

Uważała ją zresztą jako czynną i konieczną służbę dla ojczyzny, którą kochała gorąco i której miłość wpajała w dzieci. Jej miłość dla kraju rodzinnego przypominała trochę ofiarność gorącą Polek z czasów powstań naszych. Dlatego też czciła i szanowała stare tradycje i naiwne szpalerki z bukszpanów naokoło trawników i stare meble i urządzenia domowe.

Iwanówka tchnie więc starą jeszcze datą, mimo młodych mieszkańców. Darmo tu szukasz wodociągów lub telefonów, prędzej spodziewaj się, że z ciemnych portretów w jadalni zstąpią prababki w robronach i dziadkowie w białych żabotach, aby zatańczyć menueta przy dźwiękach klawikorda, który chyba czeka tam gdzieś, w kącie, na tę chwilę,

a zażywni szambelanowie w kontuszach, podkręcając sumiastego wąsa i pobrzękując karabelami, zasiędą do obficie zastawionego stołu.

Białe firanki i doniczki z geranium w oknach rozsiewają miły mrok w pokojach, w sypialni unosi się zapach lawendy, a w starych sekretarzykach, wojną srodze poniszczonych, tkwią zapewne jeszcze głęboko pochowane pożółkłe bileciki miłosne, które wiernie i zazdrośnie chowają dziwne tajemnice romantyczne. Ale te wszystkie stare i cenne pamiątki, dawne tradycje, poszły ulegle w służbę zapobiegliwej i skrzętnej nowej pani domu. Nic nie jest starym rupieciem, odstawionym poza nawias, wszystko drga i tętni pulsem życia, sprzęgnięte z nowymi ideałami i służące nowym potrzebom. Czarodziejskie ręce pani Aliny przędą ze starego kołowrotka nieprzerwaną, lecz odradzającą się na nowo silniej i potężniej nić życia.

A wszystko cechuje ład, prostota, oszczędność.

Szare dni.

Trudno jest ludziom, mieszkającym w mieście, w ciągłym jego gwarze i ruchu, wystawić sobie szarzyznę jesiennych i zimowych dni, a zwłaszcza wieczorów, na wsi. Jest ich tyle, że zlewają się w jedną wielką rzekę, płynącą spokojnym nurtem, przed siebie, daleko, w wieczność, a na grzbiecie swych fal niosącą życia ludzkie. Jest to niezliczona ilość dni, w których się *nic* nie dzieje, przyroda śpi i odpoczywa po okresie bujnej pracy, a człowiek trwa w codziennem, małem kółeczku swoich zajęć, które podtrzymują w nim życie ciała i duszy. Żaden bodziec zewnętrzny nie porusza wówczas ich energji, żadna rzecz nie roznamiętnia, nie zwraca uwagi, nie

wywołuje żywszych wzruszeń. Dusza dojrzewa, czerpiąc w sobie samej soki odżywcze, a i ciało również żyje i dojrzewa spokojnie do śmierci. Aby móc tak żyć, trzeba albo mieć duży zasób wewnętrznego paliwa dla duszy, albo bardzo kochać swój mały krąg codziennych zajęć.

Pani Ładosiowa nie czuła się dobrze w takich okresach. Jak koń na uwięzi, gryzła wędzidło i rzucała głową, chcąc przerwać męczącą dla niej monotonję dni i szukając wytrwale w głębokim nurcie rzeki przeszkód, od których jej natura elastyczna, żywa, czynna, mogłaby się odbić i nowy wziąć rozpęd. W przeciwnym razie tonęła, zalana nieubłaganą falą jednostajności. Urządzała u siebie bridże, na które zapraszała państwa Gaszyńców z panem Piotrem, jak długo był jeszcze na wsi, jeździła w sąsiedztwo, opracowywała rozmaite plany gospodarcze, ulepszenia, tyczące zwłaszcza hodowli drobiu, którą prowadziła na większą skalę i którą wyciągnęła na wysoki szczebel; to pisała artykuły do rozmaitych pism kobiecych, to znów czytała, a właściwie pochłaniała nieprawdopodobną ilość książek, wypożyczanych we Lwowie. Pan Kazimierz nie mógł w żaden sposób dostroić się do jej polotów umysłowych i nie mógł być jej partnerem. Natura jego, dynamiczna i wybuchowa, zużywała do każdej sprawy podwójną ilość energji, jaka w danym wypadku była potrzebna. To też, nabiegawszy się dzień cały przy gospodarczych zajęciach, jak koń w kieracie, był wieczorem tak znużony, że oczy kleiły mu się, gdy zasiadał do radja, aby trochę muzyki posłuchać. Pani Ida, siedząca z książką naprzeciw, w bujaku, z rozpaczą patrzała, gdy po kilku już chwilach głowa opuszczała mu się głęboko na piersi.

— Już znowu śpisz Kaziu! Jesteś nieznośny, nie można z tobą o niczem pomówić.

Pan Kazimierz budził się przerażony.

— Daruj duszko! — i całował ją w rękę. — Napracowałem się cały dzień, wstaję zawsze wcześnie, nie wiedziałem, że chcesz pomówić. Słucham cię.

— Chciałam tylko ci powiedzieć, że kury moje już się nie mieszczą w tym kurniku obecnym. Już teraz jest bardzo ciasno, a ponieważ na wiosnę chcę wychować o dwieście sztuk więcej, niż w zeszłym roku, będzie niepodobnem wszystkie pomieścić.

— Ależ na miłość boską, dlaczego chcesz powiększać hodowlę? I tak masz już tych kur bez liku!

— Jak możesz się dziwić temu? Powiększam, bo to jest chyba jedyna gałąź gospodarcza, która przynosi zyski. Mogę ci zaraz przedłożyć rachunki. Za same jaja zielononóżek dostałam w zeszłym roku trzysta złotych.

— Poczekaj duszko — przerwał jej pan Kazimierz. — Nie przynoś mi książek, ja ci wierzę, ale pomyśl, że jeśli zbudujesz nowy kurnik, będzie cię on tyle kosztował, że zje cały zysk z dwóch, albo trzech lat.

— Śmieszny jesteś! Amortyzację rozkłada się przecież nie na dwa, ani trzy, ale na szereg lat.

— Tak jest, ale nie w dzisiejszych warunkach. Każdy rok niesie niespodzianki, nie można nic przewidzieć. Łatwo bardzo okazać się może, że wszystkie obliczenia w łeb wzięły i hodowla kur przestanie się rentować. Zapewne chcesz, abym ci dał na ten kurnik pieniądze, ale skąd, duszko, ja mam wziąć te pieniądze? Cena pszenicy tak spada, a tu już pustki zaczynają świecić w śpichlerzu.

— Właśnie dlatego, że pszenica nie opłaca się, że gospodarstwa rolne nie przynoszą żadnego dochodu, trzeba nam szukać innych źródeł! Ty mówisz, że hodowla kur może również zawieść, otóż właśnie prawdopodobieństwo to jest znacznie mniejsze, niż w innych działach gospodarskich. Posłuchaj...

I zaczęła długi łańcuch wywodów przekonywujących, zapaliła się i mówiła, nie zważając już na męża, ale gdy po chwili spojrzała na niego, spostrzegła, że znowu drzemie. Wzruszyła ramionami, a potem podeszła do niego ostrożnie i pocałowała go w czoło.

— Kochany, biedny Kazio, ta śpiączka, to jednak jest nieszczęście. Ale ja kurnik będę miała!

Mieszkańcy Iwanówki dawali się nieść umiejętnie fali szarzyzny. Płynęli z nią ochoczo, równo i spokojnie. O zmierzchu zaświecała Hela lampy: na korytarzu mały kaganek, w kancelarji porządną, na postumencie niklowym, w dziecinnym zwisającą u sufitu. W stołowym zaświecano tylko do posiłków, pozatem dom pogrążony był w ciemności i trzeba było dobrze uważać, aby nosa nie rozbić, gdy się musiało przeprawiać przez nieoświetlone pokoje. Pani Alina udawała się, jak zwykle o tej porze, do służby w oficynie. Zachowała ten zwyczaj, który mało już gdzie przetrwał po dworach. Pamiętała go jeszcze z lat dziecinnych, gdy matka gromadziła w czeladnej służbę w wieczory zimowe i z pietyzmem starała się ten zwyczaj prowadzić nadal. Zapewne, nie było to już to samo, co dawniej. Służby było mało, a izba czeladna, w całem tego słowa znaczeniu, nie istniała. Oficyny od czasu wojny przemieniono na mieszkanie gumiennego i kucharza, kuchnia mieściła się teraz we dworze, a w oficynie została tylko do użytku wspólnego duża piekarnia sklepiona, o ceglanej podłodze. Tam znajdował się duży piec piekarski i kocioł, w którym parzono ziemniaki dla świń. Ponieważ izba była obszerna, pani Alina kazała w niej umieścić duży stół i ławy naokoło. Tu skupiła się cała zimowa praca: kręciło się sznurki i szyło maty do inspektów, skubano drób na święta lub do wysyłki, przebierano nasiona i t. d. Wieczorem schodzili się młodsi parobcy z folwarku,

czasem i dziewczęta, wychodzące ze śpichlerza po młynkowaniu i niektórzy stali bywalcy ze wsi, przeważnie chłopcy kilkunastoletni, ciekawi i sprytni. Gromadzili się wszyscy około dużego stołu. Kto mógł dostać się do jakiejś roboty, ten pracował, nie czekając, aby go proszono. Dziewczęta darły pierze, chłopcy grzebali niezdarnymi palcami w nasionach, rozsypanych po stole. Gdy gwar się wzmagał, wybiegał ze dworu, z naprzeciwka, kucharz z warzochą w ręku i wywijając nią groźnie, wymyślał od hołoty, bandy próżniaków i t. d. Pani Alina wchodziła żwawo, uśmiechnięta, z książką pod pachą, pełna życzliwości, witana uprzejmie przez powstanie, zasiadała u szczytu stołu, najbliżej lampy, która zwisała od stropu i spoglądała po wszystkich uważnie. Patrzyła, kto był, a kogo brakowało i czytała w twarzach. Krąg światła był nieduży, dalsza część izby tonęła w mroku, ale z cienia wychylały się ku niej twarze znajome, oczy błyszczały z daleka, zawiązywała się wzajemna serdeczna nić obcowania, serca rade otwierały się przed nią. W izbie było ciepło. Słodki zapach parzonych ziemniaków mieszał się z mdłym zapachem brudnych kabatów, ale wszyscy czuli się dobrze w tej patrjarchalnej atmosferze.

Pani Alina spostrzegła dziewczynkę, sobie nieznaną, która zalękniona i cicha stała oparta o ławkę.

— Jak się nazywasz mała? — spytała dobrotliwie.

— Parasia — była cichutka odpowiedź.

— A czyja ty jesteś?

Siwe oczka podniosły się na panią Alinę, czarna, włóczkowa chustka opadła na ramiona i odkryła rozczochraną, jasną główkę.

— Jestem służącą — wyszeptała Parasia. Było coś rozdzierającego w tym wzroku siedmioletniego dziecka i w tych słowach prostych, wypowiedzia-

nych jakby ze skargą na los twardy i nielitościwy. Serce pani Aliny ścisnęło się, pogładziła dziecko po główce i zaraz pomyślała o tem, jakby jej tę krzywdę losu trochę opromienić:

— Ho, ho, ty już służącą być umiesz? To jesteś dzielniejsza od wszystkich innych dzieci. Taka mała, a tyle już umie!

— I co też ty robisz?

— Wszystko — była cichutka odpowiedź.

— Jakto wszystko? Wszystko robisz w chacie sama?

— Dziecko bawię, kartofle skrobię, wodę noszę, wszystko...

— Wodę nosisz, patrzcie! — pani Alina dotknęła jej wątłych ramionek.

Dopytywała się zaraz, co to za dziewczynka i jakby jej ulżyć można.

— To sierota, służy u Fedka-stelmacha — objaśniała Hela.

Pani Alina zwróciła się znowu do Parasi:

— Dostaniesz płaszczyk za to, że tak ładnie pracujesz. Panna Marysia wyrosła ze swojego, będzie dla ciebie w sam raz. I bucięta się znajdą — mówiła, patrząc na jej olbrzymie buty z cholewami, w których tkwiła niemal do pasa. — Chcesz mieć buciki i płaszczyk?

— O tak! — szepnęło dziecko, a oczy jej wymownie rozjaśniały, jak dwie promienne gwiazdy.

Mały Iwaś, dwunastoletni synek kowala, o niebieskich, jak chabry, oczach i spadającym na czoło kosmykiem włosów, utarł mocno rękawem nos.

— Czemu to Nastusia dziś nie przyszła? — spytała go pani Alina.

— Mama kazali jej kuchnię bielić — odpowiedział, patrząc w oczy otwarcie i szczerze.

— Pójdę jutro zobaczyć, jak to bielenie wypadło.

— Hale! Nie będzie się na co patrzeć — zawołał chłopak, wzruszywszy ramionami — a jak pani do nas przyjdzie, to pokażę mój warsztat stolarski, co sam go zrobiłem.

— Dobrze Iwasiu, bardzo jestem ciekawa twego warsztatu, obstaluję u ciebie saneczki na drzewo. A ty Hryńku, czy byłeś w szkole dzisiaj? — zwróciła się do chłopca, którego duża głowa z wypukłem czołem pochylona była nad ziarnkami ogórków.

— Byłem — odparł, podnosząc głowę.

— A dowiedziałeś się już od pana profesora, kto to był Mickiewicz?

Chłopak wytrzeszczył oczy.

— Dowiedział. To był taki, co wirsze pisał.

— Na drugi rok dam ci „Pana Tadeusza“ do czytania, to ci się dopiero będzie podobać. Więcej, jak bajka o „Panu Twardowskim“.

— Mnie się „Pan Twardowski“ bardzo podobał.

— I mnie też, mnie też — odpowiadały zewsząd głosy parobków i dziewcząt. Chłopcy przestępowali z nogi na nogę, a dziewczęta poprawiały się w ławkach.

Z kąta, z pod parnika, dolatywały czasem jęki starej Marceli, stuletniej prawie żebraczki, która w lecie ciągnęła jeszcze po żebrach, a całą niemal zimę spędzała w piekarni, pilnując ognia pod parnikiem, za co otrzymywała ciepłą strawę i kąt do spania.

— Oj, oj, Matko święta, żeby to moja Hanusia żyła, toby ci czytała, a czytała książki! Toż to ona umiała na pamięć wszystko, co na tym świecie jest... Taka mądra była, aż Pan Bóg ją wziął do Swojej świętej chwały... to tak, na pokaranie mnie starej...

i ty człowiecze cierp i cierp, bo tak Pan Bóg przykazał — oj, oj...

Chlipała staruszka i obcierała palcami łzy i zaślinione kąciki strasznie pomarszczonych ust, ale nikt na starą uwagi nie zwracał, zawsze tam coś od rzeczy bredziła.

— Dzisiaj wam opowiem, moi drodzy, o świętym Janie Kantym, wielkim świętym polskim, który prawdę ponad wszystko miłował — mówiła pani Alina odchrząknąwszy, zabierając się uroczyście do opowiadania gdy wtem drzwi rozwarły się gwałtownie, zimne powietrze falą runęło do środka, a z niem Maryś rozczochrana, jak zawsze, z przekrzywionym fartuszkiem. Od progu już wołała:

— Mamo, pozwól mi przyjść tutaj, będę słuchać, co opowiadasz! Mademoiselle tak mnie nudzi, że uciekłam od niej.

Hela, pokojówka, zaśmiała się w kułak.

— Zamknij drzwi Maryś, jeśli chcesz słuchać — mówiła pani Alina. — Chodź, siadaj tutaj i siedź grzecznie.

— Oo, będę grzeczna, jak anioł. Posuń się! — szturchnęła w bok Helę, usadowiła się koło niej na ławce i zaraz zanurzyła obie dłonie w miękkiem, rozsypującem się pierzu.

— Panieka będzie się tylko bawić, ja już to wiem, niech panienka lepiej to zostawi. — I Hela odsuwała pierze.

— Ale, będę skubać ślicznie, nie bój się.

— Św. Jan Kanty — zaczęła znowu uroczyście pani Alina — który brzydził się kłamstwem, a kochał zawsze prawdę, szedł sobie raz przez wielki, ciemny bór...

I tak ciągnęła się niewymyślna opowieść dla prostaczków, którzy jej słuchali zachwyceni, w krainę czarów.

W kancelarji pan Karol z Julą, pochyleni nad dużym stołem, badali mapę Iwanówki i układali preliminarz siewów. Pan Karol tłómaczył przytem płodozmian w związku z kilkoma odmianami gleby. Jula robiła notatki; była inteligentną, myślącą słuchaczką, stawiała pytania lub wypowiadała swoje wątpliwości. Pan Karol, doświadczony, wytrawny, mówił spokojnie, tłómaczył jasno. A gdy skończyli pracę, wyprostował się i rzekł:

— Już dość długo panią nużyłem. Teraz może pani odpocznie trochę, ja jeszcze do wieczerzy, będę robił bilans roczny. To praca, która pochłania mi wszystkie wieczory, ale może za tydzień już ją skończę.

— Czuję wstręt do rachunków — wstrząsnęła się Jula. — Wiem, że one są konieczne, ale nie mogę oprzeć się twierdzeniu, że to jest ta twarda, przykra konieczność życia.

— Przykra konieczność? — Pan Karol uśmiechnął się. — Znam gorsze konieczności życiowe. Osobiście dość lubię rachunki, tylko niestety dają mi one coraz przykrzejszy obraz mego stanu majątkowego.

— Zostawiam pana nad rozkosznem zajęciem rachunków i proszę, o ile można, o jakąś książkę do czytania.

— Książki pani żąda? — zafrasował się pan Karol. — To trochę trudniejsza sprawa. U nas książka, to rzadki gość. Nie mamy czasu na czytanie, ale może moja żona znajdzie jeszcze coś dla pani.

— Wszystkie książki pani szefowej już przeczytałam do deski, nie mam już nic... Stoję na pustyni.

— Ależ to tragiczne — śmiał się pan Karol. — Jest pani, jak kwiat, usychający na pustyni bez wody, czyli bez książki. Czy to pani chciała powiedzieć?

— Mniej więcej to. Nie mogę poprostu spędzać tych długich wieczorów bez książki, nie wiem, co mam robić. Jeśli nie daje mi pan zajęcia, to muszę choć czytać. Niedawno wyśmiałam pana Tadeusza Kostrzyckiego, kiedy mi powiedział, że nudzi się na wsi, a obawiam się, że musiałabym powiedzieć prawie to samo, gdybym nie miała czem zająć tych długich wieczorów.

Pan Karol spojrzał jej uważnie w oczy. Podobała mu się taka buntownicza i zuchwała.

— Jeśli pani chce, mogę służyć czasopismami fachowemi. Proszę przeczytać ostatniego „Rolnika“, „Gazetę Mleczarską“. Jest tutaj także dzisiejszy „Kurjerek Krakowski“, na głębokiej prowincji jedyna nasza rozrywka.

— Owszem, owszem, z największą chęcią wezmę gazetę i czasopisma, każę sobie zapalić lampę w saloniku.

— Niech się pani nie dziwi temu, że książek u nas niema. Praca na roli zacieśnia horyzont zainteresowań umysłowych, ale pogłębia sąd. Wyzbywamy się płytkiego, zewnętrznego poloru umysłu, ale nabieramy powagi zapatrywań. Nasz wzrok sięga może tylko granic naszej parafji, *parafjaniejemy*, ale im więcej się zacieśniamy, tem bardziej wzrasta nasza siła dynamiczna w pracy i zrozumieniu wagi tej pracy. Co się traci na szerokości, to zyskuje się na głębi. W jesieni, jak Bóg da doczekać, kupię radjo, już dawno obiecane dzieciom. Ono da nam trochę połączenia z szerszym światem — zakończył wesoło.

— Tak radjo, radjo, niech żyje radjo! — i nucąc jakąś arję, wyniosła się z gazetami do saloniku obok.

Pan Karol pochylił się nad rachunkami, wyciągał z mniejszych książek pozycje, sumował, prze-

pisywał, obliczał. Była godzina wpół do ósmej, kiedy pani Alina, skończywszy swoje opowiadanie u służby, bezszelestnie prawie weszła do pokoju męża i stanęła za jego plecyma. Jak każda prawie kobieta i ona czuła odrazę do rachunków, spojrzawszy więc na długie kolumny cyfr, rzekła:

— Znowu rachujesz, Lolu! Ileż to ci czasu zabiera! — Położyła mu dobrotliwie rękę na czole i przycisnęła jego głowę do piersi, całując go równocześnie we włosy. — Rachunki są niezbędne, ale obawiam się, że one nam nic pieniędzy nie przysparzają.

— Masz słuszność Linko. — Pan Karol zdjął jej rękę z czoła i przycisnął do swoich warg. — Gdyby nie ty, słodka moja i dzieci, rzuciłbym wszystko. Nie warto pracować, jeśli owoc tej pracy jest znikomy, albo go wogóle niema.

— Przykro mi bardzo, Lolu — mówiła, siadając obok męża, pani Alina — że muszę cię jeszcze martwić i do twoich kłopotów dodawać nowe. Jeszcze nie posłaliśmy w tym miesiącu opłaty za dziewczynki do klasztoru. Wczoraj miałam list, upominający się o należność, od przełożonej.

— Prawda to, prawda — pokręcił głową z wyrazem zniechęcenia. — Lecz co zrobić? Zboże, które jest w śpichlerzu, zajęte jest na podatki, sprzedać go nie wolno, pozatem mamy jeszcze parę stert zboża niemłóconego, ale młócić się teraz jeszcze nie będzie. Może sprzedać jakie dwie stare krowy?

— Dwie krowy nie wystarczą, bydło jest teraz takie tanie, a ty chyba dobrych sztuk nie sprzedasz. W każdym razie — ciągnęła po chwili namysłu — będzie to już większa część. Ja jeszcze dołożę tego wieprzka, którego chciałabym trzymać do Wielkiejnocy, odstawię mniejszego na opas, a tego sprzedam. Może to, razem wziąwszy, już starczy.

— Wiesz co, Linko, że zdaje mi się, źle robimy, kształcąc dzieci. Chowamy je ponad stan.

— Co mówisz, Lolu, czy chciałbyś, aby dzieci nasze schłopiały?

— Nie chciałbym, aby schłopiały, ale nie wiem, czy nie będą musiały schłopieć. Wyrywasz mi to słowo z ust. Możemy sobie dziś jasno powiedzieć, że nas i większą część ziemian nie stać na wychowanie dzieci po klasztorach i wogóle poza domem. Czynimy to jeszcze kosztem największych wysiłków, dajemy im to upragnione wykształcenie, ale jeśli one wrócą na ziemię, do warunków podobnych tym, w których obecnie żyjemy, będą się czuły najnieszczęśliwsze. Przecież z dorobku kultury nie będą mogły korzystać. Książek my już dziś nie czytamy, a one będą mieć na to tem mniej czasu i możności. Uważałbym, że ważniejszą jest rzeczą wyrobić w nich sprawność fizyczną i ochotę do pracy rąk, niż kształcenie ogólne ich umysłu.

— Antosia już pokierowaliśmy według zasad, które wygłaszasz, ale Antoś był niezdolny i nie chciał się uczyć, a dziś może i żałuje tego, że tak mało umie.

— Antoś będzie najszczęśliwszy, zobaczysz Linko. On potrafi najlepiej dostroić się do ciężkiej pracy na niewdzięcznym warsztacie.

— Może masz i słuszność, ale pomyśl o innych dzieciach: Zosia jest taka zdolna, bystra, tak świetnie się uczy, czy miałbyś sumienie bronić jej nauki?

— No, Zosia ostatecznie niech się uczy. Ta nie wróci na ziemię, tę pochłonie miasto szybko. Ale Haneczkę i Maryś chowaj na gospodynie, ucz je gotować i prać, a będą szczęśliwsze.

— Ach, Lolu, co też ty mówisz! Serce mi się kraje. A Stach, cóżbyś z niego chciał zrobić?

— Czy ja wiem, Linko kochana? Przypierasz

mnie do muru. Ot mówię, co myślę, ale wiem, że się to i tak nie zrobi w ten sposób. Stach jest jeszcze smarkaczem, zobaczymy, co z niego wyrośnie. Nie gniewaj się na mnie, już o tem mówić nie będziemy. Narazie nic się nie zmieni.

— Nie gniewam się przecież, myślę nawet, że może masz i słuszność, ale to trochę przykro. Chodźmy na wieczerzę, słyszę dzwonek na korytarzu.

Pani Alina nie chciała więcej drażnić męża i nie powiedziała mu, że i za stancję Stacha, który mieszkał we Lwowie z obydwoma Ładosiami, trzeba będzie posłać należność. Zostawiała to na jutro, może przez ten czas sama jeszcze coś wymyśli. Trzeba będzie Karola namówić do sprzedaży lasu, może jeszcze znajdzie się jakiś kawałek, bodaj na sągi.

Za chwilę siedzieli już wszyscy naokoło stołu przed dymiącą wazą z zacierkami na mleku. Obok stał półmisek pieczonych ziemniaków, chleb i masło.

— Mnie bez kożuchów — wołała Maryś.

— Taisez-vous petite, vous faites tant de bruit — upominała mademoiselle, smutna, stara panna z węzełkiem siwych włosów w tyle głowy, typowa dawna guwernantka. — Est-ce que la petite était chez vous madame? Elle s'est enfuie de la chambre, elle a disparu, je l'ai cherchée en vain.

— Oh, maman a raconté de belles choses, bien plus intéressantes que „les Malheurs de Sophie“ et les „Mémoires d'un Ane“. Toutes les histoires que Mademoiselle me donne à lire sont embêtantes.

— Nie chciej być za mądra, Maryś — zgromił ją ojciec. — Podaj mi masło.

Jula, krzywiąc się, jadła zacierkę, nie lubiła takich mdłych potraw. Rozmowa toczyła się około drobiazgów życiowych i... moglibyśmy jeszcze tak

długo, długo opowiadać, ale nie chcemy zbyt nużyć szarzyzną czytelnika!

Święcone w Iwanówce.

Ciepłe, kwietniowe słońce przygrzewało inspekta. Okna ze skrzyń były pozdejmowane. Młode, wątłe roślinki rozpościerały radośnie swe delikatne listeczki. Przy jednej ze skrzyń, napełnionej ciepłą, wilgotną ziemią, siedziała pani Alina i pikowała wczesne kalafiory. Wkrąg roztoczona jej popielata spódnica tworzyła jakby szeroką podstawę, w której tkwiła skrócona cała jej postać, na głowie filcowy kapelusz z rondem przesunął się trochę na bok i chronił jej oczy od przykrego blasku słońca, który łamał się w szybach inspektowych. Z drugiej strony skrzyni klęczała na desce 14-letnia Haneczka, która wraz z Zosią przyjechała przed paru dniami z klasztoru do domu, na święta i pomagała matce pikować. Lubiła pracę w ogrodzie, byle nie trwała za długo. Matka i córka czuły się dobrze w tem cieple słońca, płynącem z góry i wonnej pary, idącej z dołu, od inspektów. Obie pracowały i gwarzyły wesoło.

— Jak tu przyjemnie, mamo! Że też ta Zosia woli zawsze nad książką siedzieć! Ot, byłaby przyszła i pomogła nam, a tak nie skończymy zapewne do przyjazdu księdza.

— Każdy co innego lubi, niech więc tem się zajmie, do czego pociąg czuje, byle pracował, byle nie był próżniakiem, darmozjadem. Zosieńka pójdzie inną drogą w życiu, a ty inną — pouczała pani Alina.

— A wiesz mamuś, dlaczego Zosi jest dobrze w klasztorze? Bo ona tam może czytać i uczyć się, a mnie już klasztor tak się sprzykrzył, że gdybym

mogła, tobym uciekła stamtąd, albo i nie wracała teraz, po świętach.

— Pierwszy raz słyszę, Haneczko, taką skargę w twoich ustach! Zawsze mówiłaś, że się czujesz tam nieźle, zakonnice były z ciebie zadowolone.

— Ale, bo teraz zmądrzałam naprawdę, mam już 14 lat i widzę i rozumiem takie rzeczy, których dawniej nie rozumiałam.

— Cóż ty tam widzisz i rozumiesz? — spytała zdziwiona pani Alina, wyprostowując się i patrząc zaciekawiona na córkę.

— Te siostry, mamo, to tak przesadzają! Najmniejsza rzecz u nich jest grzechem, albo ciężką winą. Posłuchaj mamuś i sama osądź, czy to, co zrobiłam, było taką straszną zbrodnią. Ot, w czasie rekreacji, kiedy bawiłyśmy się w ogrodzie, przy pomocy Zuzi Kaweckiej przelazłam przez mur, na drugą stronę i krzyczałam stamtąd do dziewczynek. Wszystkie się zleciały, jednem słowem zrobiło się ogromne zbiegowisko. Ja machałam chustką z drugiej strony muru. Siostry krzyczały do mnie, abym natychmiast wracała, ale ja już nie mogłam wdrapać się sama na mur z powrotem, więc musiałam obejść cały ogród i klasztor dokoła, aby wrócić przez główną furtę. Co mnie potem spotkało! No, mama nie ma pojęcia! Musiałam chodzić, przepraszać przełożoną, publicznie, w pensjonacie zostałam napiętnowana, a jeszcze większy był hałas, kiedy powiedziałam, że tu przecież nie więzienie, aby za przeskoczenie muru być karanym. A jeśli karzą za to, to chyba naprawdę jest więzienie! Przecież tu, mamuś, zawsze włażę na drzewa i mogę sobie jakikolwiek mur przeskoczyć i nic mi nikt nie mówi.

Pani Alina śmiała się:

— Ależ ty narobiłaś bigosu tym biednym siostrom! Otóż to właśnie, jak się rozpuści dzieci na

dziadowskie bicze, to one potem wszędzie chcą do-kazywać. Gdy bardziej jeszcze zmądrzejesz, Haneczko, to zrozumiesz, że co klasztor, to nie Iwanówka i że nie zawsze można to robić, co komu do głowy strzeli.

— Ależ to nudno, mamo! — Haneczka zrobiła nadąsaną minę i zabrała się znowu do wtykania kołeczka w ziemię, wkładania ostrożnie roślinki w otwór i przyklepywania korzonków ziemią.

Nagle od strony dworu dały się słyszeć wesołe, donośne głosy. Oślizgłą ścieżką z góry biegła Jula, a u jej boków uczepione dwie dziewczynki: Zosia i Maryś, opodal zaś, dziko krzycząc i skacząc, 12-letni Staszek. Wszyscy ślizgali się w błocie i podtrzymywali nawzajem, z wybuchami śmiechu. Wkrótce stali już na dole, przy inspektach, zadyszani i cali drgający radością młodego życia, które się w nich kłębiło pod wpływem ciepłych, wiosennych promieni. Jula pierwsza dech złapała i mogła przemówić.

— Pan szef prosił nas, aby pani powiedzieć, że już godzinę temu posłano po księdza, więc zapewne będzie tu za chwilę.

Pani Alina szybko uniosła się z ziemi.

— Ach, w takim razie śpieszmy się Haneczko, musimy się jeszcze umyć i przebrać, nie można tak księdza proboszcza powitać. Zosiu, czy ustawiłaś już szynkę na stole i obłożyłaś ją jajami?

— Już mamo, już. Całe święcone przedstawia się teraz wspaniale, imponująco!

— Zachwycająco, interesująco! — krzyczały dzieci jedno przez drugie i już z powrotem pędziły w górę, w zwiększonej gromadzie, wymahując rękoma i ślizgając się okrutnie.

Pani Alina oddała Józkowi, ogrodniczkowi, niedosadzone kalafiory, wydała mu jakieś rozporządzenia i także ruszyła ku domowi, otrząsając się

z błogiego odrętwienia, jakiemu uległa w tym cie=
płym kącie na inspektach. Stopy jej zanurzały się
głęboko w trawnik i wyciskały mocne ślady w wil=
gotnej ziemi.

Przebrała się u siebie. Czesząc starannie swoje
długie włosy, przypatrywała się przez okno łobu=
zerskim skokom dzieci i Juli z psem Trefem na
środku trawnika. Żywopłoty z bukszpaników były
przeszkodami, które ustawicznie przeskakiwać mu=
siano. Pani Alina wiedziała, że się tam bez podepta=
nia ich nie obejdzie, ale czyż mogła hamować tę ży=
wiołową wesołość? Nagle wzrok jej padł na Anto=
sia i zasępiła się: dlaczegóż nie bierze udziału w za=
bawie, chodzi jakby zafrasowany tam i napowrót
drogą zajazdową, może czeka na księdza, a może
trapi go myśl jakaś? Pani Alina doskonale zdawała
sobie sprawę, że coś Antosiowi dolega. Wyjechał
wkrótce po polowaniu w Wiszence na dłuższy czas
do kolegi swego na Pomorzu i wrócił dopiero przed
kilku dniami. Przeczuwała mętnie, że powodem tak
długiej nieobecności była Jula, to jest właśnie obec=
ność Juli w Iwanówce i dlatego w sercu jej zaczęła
kiełkować jakby słaba niechęć do tej dziewczyny,
która mu niejako chłopca z domu wypędzała. O, bez=
wiednie czywiście, bo nie potrafiłaby jej zrobić zarzu=
tu, że w najmniejszym choćby stopniu próbowała
chłopca bałamucić, ale gniewało ją to, że tu przeby=
wa, taka wesoła i beztroska, a syn jej tuła się u ob=
cych. Czy nie ona raczej powinna wyjechać? Przy=
pominała sobie Karola w tym samym mniejwięcej
wieku, a zakochanego w niej bez pamięci i porów=
nywała ich obydwóch.

— Ale Antoś, to nie Karol — mówiła sobie —
to całkiem co innego! To nie do pomyślenia, aby
Antoś mógł i chciał tak wcześnie się ożenić. A więc
może wskazanemby było, aby jedno z nich wyjecha=

ło? Więc Jula? Ale jeśli Jula, to w jaki sposób to przeprowadzić? Dziewczynie niczego zarzucić nie można, przyjęło się ją na praktykę roczną, wyjazd jej może bardziej jeszcze dotknąć Antosia. Może raczej lepiej, aby on raz jeszcze wyjechał? Jest roz= sądny i sam będzie wiedział, jak postąpić, potrafi się sam z sobą borykać, a jeśli nie czuje się na siłach stłumić budzących się uczuć, to wyjedzie zapewne. Ale być może także, iż to uczucie nie wzrasta w nim, może to są tylko moje przywidzenia?

Mimo wszystko, obawiała się, aby nie zechciał na dłużej znowu opuścić Iwanówki, tak rada była mieć go przy sobie, po tylu latach widzieć go w do= mu i zatroskana i trwożna obiecywała sobie dziś je= szcze z nim pomówić.

Teraz poszła ostatni raz rzucić okiem na święę= cone. Przygotowywała je corocznie z tą samą pie= czołowitością i choć z powodu trudnych warunków ekonomicznych musiała je niemal do połowy zredu= kować, było jednak jeszcze obfite i dobre i miało służyć ku radosnemu spożywaniu całej jej gro= madki.

Ustawiało się je na dużym piekarnianym stole w gościnnym pokoju, ostatnim w korytarzu. Na czas ten wynosiło się łóżka i wogóle wszystko, coby przypominało pokój mieszkalny, bieliło się ściany czysto, szorowało podłogę i ustawiało pod ścianami w koszach kwiaty z cieplarni, a długi stół w pośrod= ku. Między dwoma srebrnymi lichtarzami, na wyso= kiej podstawie, obsianej rzerzuchą, niby na zielo= nem wzgórzu, pasł się spokojnie baranek wielkanoc= ny z masła, przez Zosię sztucznie ulepiony, z czer= woną chorągiewką. U stóp jego wydymała się grzbietem wspaniała, złotawa szynka, ubrana doko= ła wianuszkiem kolorowych pisanek, zwoje kiełbas i wędzonek, od których szły cudowne zapachy, pię=

trzyły się na misach, przetykane czerwoną rzod=
kiewką. Dalej imponujący sernik, ozdobiony kratą,
rozlewał się majestatycznie dużą, żółtą plamą, a tor=
ty przeróżne, pstre, na wystrzyganych białych pa=
pierach podawały się piękne i krągłe oczom i ape=
tytom.

Na miejscu poczesnem król placków: przekła=
daniec — olbrzym, witał gości i chwalił Dawcę da=
rów wspaniałem „Alleluja“, wypisanem czarnym lu=
krem na białej powierzchni, a na bokach stołu, jak
wojsko na baczność, stały dwa rzędy bab, chluba go=
spodyń, najtrudniejszy i najwspanialszy objekt
święconego. Baby w Iwanówce miały już swoją sła=
wę, dlatego były takie dumne i w swem spokoju
i dostojności osiedziałe.

Na drugim, bocznym stole było w pstrych mi=
sach ustawione święcne dla służby, stosy chle=
bów, gomółek sera i masła i różnorodnego, bardziej
prostego pożywienia. Tu gromadził się, w porów=
naniu do arystokracji pierwszego stołu, plebs, ale
plebs zdrowy i czerstwy, podstawa życia.

Pani Alina obeszła stół, starannie badając wszy=
stko, tu coś posunęła, tam poprawiła, nachyliła się
nad hjacentem, kwitnącym ku ozdobie stołu z pośród
pieczywa i wędlin i wciągnęła w siebie głęboko jego
odurzającą a piękną woń.

W tej chwili gwar silny rozległ się na koryta=
rzu, tupanie nóg, zrzucanie zdjętych butów na zie=
mię, głosy i śmiechy. Drzwi otworzyły się z rozma=
chem i szeroka postać księdza proboszcza, w białej
komży i birecie, zarysowała się na tle całej gromad=
ki domowników, cisnących się również do pokoju.
Za księdzem postępował uroczyście kościelny z kro=
pielnicą i kociołkiem na wodę i uszykował się w od=
powiedniem oddaleniu. Naokoło stołu ustawiła się
rodzina: dzieci i pan Karol, dalej Jula, stara made=

moiselle, a bliżej ściany, powagą i skupieniem odbijająca od roześmiałej młodzieży, cała służba: kucharz Paweł, pokojówka Hela, Nastka podkuchenna, Józefowa praczka, pisarz, ogrodniczek, a w samych drzwiach stał Antoś.

Ksiądz proboszcz bezzwłocznie, utrzymując nastrój powagi i obrzędu religijnego, otworzył książkę i czytał modlitwę po łacinie, pełen namaszczenia, głośno i dobitnie. Potem obrócił się do kościelnego i ująwszy kropidło, wodą ociekające, posuwał się poważnie, kropiąc starannie obydwa stoły. Zamknął książkę, zdjął stułę i komżę i oddał wszystko kościelnemu. W tej samej chwili nastrój się rozwiał, zrobiło się zamieszanie w pokoju.

Donośny głos Stacha zakrólował nagle nad innymi:

— Ależ będziemy się zażerać jutro!

— Jesteś łobuz i zachowujesz się jak dzikolud — zgromiła go ostro Zosia.

— A ty sensatka klasztorna — odciął się Stach, ale już wszystko utonęło w ogólnym gwarze.

Ksiądz proboszcz witał się z państwem Przybyłowskimi.

— U pani dobrodziki kryzysu nie widać. Święcone takie, że aż oczy bolą patrzeć, a ślina do gęby idzie — prawił jowialnie.

— To też mam nadzieję, że, jak co roku, nie odmówi nam ksiądz proboszcz łaskawie swego udziału w spożywaniu święconego jutro, w południe. Będą i inne owieczki z naszej parafji: państwo Ładosiowie z dwoma synami i cała rodzina państwa Cerkawskich i może pan Wyszymirski.

— Ta, wiadomo, że pasterz musi swoich owieczek pilnować! Gdzieżbym ta indziej poszedł? Za złego pasterza by mnie wzięli. Ale Bozia nagrodzi to pani dobrodzice, że zawsze tych opuszczonych do

* *

siebie garnie. Ta, bo co ci Cerkawscy tam za święcone mieć mogą! A któż dba o pana Wyszymirskiego w domu, czy może ten złodziej Rudolf, który sam na większego pana urósł, jak jego chlebodawca?

— Niech ksiądz proboszcz przejdzie z nami do salonu i odpocznie chwilkę — zaproponował pan Karol i ruszyli ku drzwiom.

Nad wieczorem dopiero znalazła pani Alina chwilkę, aby pomówić z Antosiem i zapytała go trwożnie, czy nie zamierza po świętach znowu wyjechać.

— Czy matuś chce się mnie pozbyć z domu? — zapytał figlarnie i pocałował ją w rękę, a potem, zmieniając ton i patrząc w ziemię, powiedział powoli:

— Nie, zamierzam pozostać. Widzę, że jest dużo roboty. Ojciec oddalił ekonoma, jest więc pracy dosyć dla... trojga, to znaczy: dla ojca, dla panny Juli i dla mnie.

Pani Alina odetchnęła, ale nie pozbyła się niepokoju.

Nazajutrz o piątej rano rozbrzmiewał cały powiat wesołym dźwiękiem dzwonów rezurekcyjnych. Ciągnęły do świątyń Pańskich, ubogich kościółków wiejskich, plaszcząc w błocie, bryczki ziemiańskie i chłopskie wozy, pełne ludzi weselących się. Otrząsnęli sen z oczu wcześniej, niż zwyczajnie, odsunęli od siebie troski codzienne i cieszyli się ciepłem wiosennego słońca i nadzieją, którą im niosła wiara w Zmartwychwstanie oraz budząca się przyroda.

Siejba w Sytym Kącie.

Pan Wyszymirski, spożywszy skromny posiłek, zgotwany i podany mu przez nieodstępnego Rudol-

fa, zażywał krótkiego, należnego mu wypoczynku. Siedział rozłożony w patrjarchalnym fotelu, skórą wybitym, ćmił krótką fajeczkę i trochę drzemał. Nagle ocknął się — ktoś zapukał do drzwi i prawie w tej samej chwili wszedł do kancelarji pan Katz.

— Dżendobry dla pana dżedżyca, pan dżedżyc spał, ja psipraszam, ale ja psiprowadżył konie.

— Co, konie? — zerwał się pan Wyszymirski. — Jakie konie?

— Konie pirsza klasa. Pan dżedżyc potrzebuje koni, teraz na wiosnę taka robota, a koni za mało. Pan dżedżyc kupi te koni.

Ale pan Wyszymirski opadł już zniechęcony na fotel z powrotem.

— Et, poco to Katz głowę kręci, ja koni nie kupię, wystarczy mi narazie to, co mam.

— Niech pan dżedżyc posłucha, te konie nic nie będą kosztować.

— Jakto nie będą kosztować? Katz zawsze tak mówi, a potem słono każdą rzecz sobie odbija. Naprawdę, że narazie mam dość tych interesów!

— Nu, to ja konie zabiram, ale ja prosi, niech pan dżedżyc tylko oglądnie. Szkoda takie konie nie widżecz, to coś! To krew, follblut. Jakiem Katz!

— A gdzież te konie? — Pan Wyszymirski przeciągnął się niechętnie i głośno ziewnął.

— Pan dżedżyc potrzebuje tylko przez okno spojrzić, stoją przed domem, ja już idę! — I Katz wybiegł żwawo z pokoju.

Pan Wyszymirski podszedł do okna. Na dziedzińcu stał pusty wóz żydowski, zaprzężony we dwa rosłe kasztany. W tej chwili Katz, zwinny, jak młody chłopak, wskoczył na wóz, odsunąwszy na bok wyrostka żydka, a ująwszy lejce mocno w ręce, rozstawił szeroko nogi i cmoknął. Konie ruszyły z miejsca ostrym kłusem. Złukowały szyje, wydęły no-

zdrza i poniosły się przed siebie, pysznie i zdecydowanie wyrzucając nogami. Długie grzywy i puszyste, obfite ogony rozwiewały się falą na wietrze, a chałat stojącego na wozie Katza płynął za nim, jak czarne skrzydła. Widok był wspaniały i pan Wyszymirski nie mógł wysiedzieć w pokoju. Musiał chociaż poklepać konie i zajrzeć im w zęby.

Katz, objechawszy trawnik dokoła, ściągnął mocno lejce, konie zwolniły biegu i gryząc niecierpliwie wędzidła, stanęły przed rozwalonym tarasem.

— Oba klacze, czteroletnie — wołał Katz, zeskakując z wozu i oddając lejce wyrostkowi. — Proszę patrzeć na zęby!

Pan Wyszymirski podszedł powoli i, jak wytrawny smakosz, sycił się wolno a z namysłem widokiem szlachetnych zwierząt. Dotknął lśniącej, jedwabistej skóry, poklepał po szyi, wolno otworzył pyski i długo, starannie badał zęby.

— Całkiem młode, psiakrew — mruczał pod nosem — i nie fałszowane rejestry!

Schylał się do nóg, macał pęciny, suche były i twarde. Piersi silne, szerokie, zady okrągłe, budowa głęboka, miara 160 cm.

— No, niczego, niczego — zwrócił się na końcu do Katza, który stał obok, cały czas przyglądając się bacznie temu egzaminowi, a wiedząc napewno, jak się to wszystko skończy, uśmiechał się tryumfująco. — Trochę tylko dla mnie za ostre.

— Pan dżedżyc takie właśnie potrzebuje na pierwszą parę do szewnika, to sze będzi prędko szało, a szejba spóźniona u pana dżedżyca! Pan Ładoś już ziemniaki sadży.

— Katz głupstwa plecie, co mnie pan Ładoś obchodzi! — odrzucił niedbale pan Wyszymirski, choć ukłuła go boleśnie wiadomość, że sąsiad o tyle go wyprzedził. — Proszę mi powiedzieć, co te konie

kosztują? Ja i tak ich nie kupię, tylko z ciekawości pytam, bo teraz nie mam pieniędzy na konie.

— Ja nie potrzebuję pieniędzy, czy ja co takiego mówił, może my interes zrobimy na mleko?

— No, jaki interes?

— Niech pan dżedżyc słucha: ja konie zostawię, a pan dżedżyc mnie da pacht na mleko, porachujemy wszystko w poziądku i pan dżedżyc mlekiem wypłaczy za konie.

— Kiedy Abramek już od dwóch lat u mnie pacht trzyma, nie mogę go wyrzucić.

— Ja Abramka biorę na szebie, ja z nim pomówię, ja mu dam cosz na odstępne, a mleko sam będę brał.

— A ile Katz da za mleko?

— Ja dam dżewięć groszy, tylko o grosza taniej, jak Abramek.

— Dlaczego taniej?

— Nu, a jak pan dżedżyc myśli? To ja tak długo czekam na moje procenta, ja taki czerpliwy, ja szi nie upominam, ale ja tyż cosz za to muszę miecz.

Pan Wyszymirski rozważał: To prawda, od dwóch lat nie płaci już nic temu przeklętemu Katzowi, odstąpił mu już folwarczek z tamtej strony Kamiennej, Zielonkę, 200 morgów ślicznej ziemi, za część jego długów, ale jeszcze tyle ma spłacić, a procenta rosną wciąż! Katz jest jego głównym wierzycielem. Prawda, że jest cierpliwym i nie upomina się zbyt natarczywie, ale gdyby chciał, mógłby mu zrobić wielką, wielką przykrość. Woli o tem nawet nie myśleć. Lepiej mu dogodzić, lepiej mu ustąpić, a zresztą w tym wypadku przychodzi łatwo w posiadanie rzeczywiście zupełnie wyjątkowo ładnej pary koni.

— A cóż Katz liczy za konie?

— Niedużo, niedużo, policzymy sze potem, ja

dla pana dżedżyca, zawsze wszystko najtaniej do=
starczam. To ja mogę powiedzieć, żeby koni do sze=
wnika zaprzęgali? Bo akuratnie idą w pole parobki,
a ta para siwych do szewnika, to daruj pan dżedżyc,
ona nie ma prawa tu bycz!

— To pan Katz przyjdzie wieczorem do mnie,
ułożymy się jakoś, ja już sam załatwię z tymi koń=
mi, a wóz i pana Katza odeślę właśnie siwymi do Ka=
mienobrodu. Co?

— Dobrze, te szywe dla pana Katza mogą bycz
dobre! — I Katz szybko zabrał się do odprzęgania
koni, a w duchu myślał sobie:

— Tak zawsze z panem dżedżycem, co Katz ze=
chce, to pan dżedżyc zrobi!

I obliczał zyski, które z tego interesu wyciągnie.
Za największą korzyść uważał to, że w ten sposób
zrobił jeden krok dalej do opanowania całkowicie
Sytego Kąta. Jako mądry strategik, nie dążył do
zniszczenia w zupełności swojej ofiary w chwili
obecnej, wiedział, że licytacja chybiłaby celu, gdyż
nie odzyskałby zpewnością pożyczonych pieniędzy.
Chciał jednak powoli zawładnąć całym warsztatem
gospodarczym, a później polubownie ułożyć się z in=
nymi wierzycielami, ale być pierwszym wśród nich
w każdym razie.

Pan Wyszymirski czuł pewien niesmak po zro=
bionym interesie, lecz odpędzał te złe myśli daleko
od siebie. Narazie przypatrywał się z prawdziwą
przyjemnością, jak zaprzęgali kasztany do siewni=
ka. Kiedy ruszyły dobrego stępa, nie mógł prawie
za nimi nadążyć. Druga para gniadych, przeznaczo=
nych również do siewnika, ciągnęła teraz wóz z na=
sieniem. Właśnie mały konwój skręcał drogą za fol=
warkiem na lewo, kiedy od strony mostu na Ka=
miennej zaturkotała na suchej już drodze bryczka
pana Przybyłowskiego, wkrótce zrównała się z sie=

wnikiem i pan Przybyłowski żwawo zeskoczył na ziemię.

— Jak się masz, Jasiu! Widzę, że siejesz jeszcze, chciałem z tobą trochę pomówić, ale nie przeszkadzaj sobie, najchętniej będę ci towarzyszył w pole. Zobaczę przy tem, jakie masz oziminy!

— Dziękuję ci serdecznie, że o mnie pamiętasz. Jeśli cię to nie nuży, to owszem, chodźmy do siejby, to stąd parę tylko kroków, na polu „za Garbem". — I ruszyli w ślad za oddalającym się siewnikiem.

Z początku toczyła się rozmowa o tem i o owem, o gospodarstwie, o roli, o braku gotówki, o podatkach i t. d. Sąsiedzi, jak to zwykle, gdy się zejdą, biadali nad swym losem. To prawda, że w tym ciężkim roku nie był on do pozazdroszczenia. Każdy jednak inaczej na klęski gospodarcze się zapatrywał. Pan Karol, chociaż narzekał, bo to do ogólnego już systemu należało, nie tracił nadziei, ani choty do pracy, wiedział, że ekonomicznie stoi na trwalszych, niż inni, podstawach i wierzył niezachwianie, że przetrwa najgorsze.

Pan Jan również nie ostygał w zapale do pracy, ale zaciskał oczy i uszy na wszystko, co leżało poza jego gospodarstwem, nie chciał patrzeć w przyszłość, gdyż wiedział, że tam, z głębi, grozi mu ruina. Jak dziecko, mówił sobie: może się „coś" stanie i ratunek mi przyniesie. A tymczasem z namiętnością, która równała się namiętności gracza, pracował i ulepszał swoje gospodarstwo.

— Dostałeś zapewne zaproszenie na posiedzenie związku ziemian? — mówił pan Karol. — Będzie to bardzo doniosłe posiedzenie, gdyż ma być na niem poruszony pewien projekt, który miałby na celu pomóc nam wszystkim w szukaniu dróg tańszej produkcji.

— Och, szukanie dróg... — skrzywił się pan Jan. — Znamy to, znamy...!

— Nie odrzucaj z góry tego, czego jeszcze nie znasz — zniecierpliwił się nieco pan Karol. — Posłuchaj najprzód, o czem będzie mowa. Gaszyniec specjalnie prosił mnie, aby ciebie nakłonić do wzięcia udziału w tem posiedzeniu.

— E, daj mi pokój, wiesz dobrze, że nie jeżdżę nigdy na wasze posiedzenia! Uważam, że tam się miele tylko sieczkę i słomę, a ja naprawdę nie mam czasu na to.

— Najprzód, nie zarzucaj nam bezpodstawnie, że mielemy sieczkę i słomę! Skoro nigdy nie jesteś obecny, nie możesz wiedzieć, co na posiedzeniach robimy. Powtóre, jesteś naszym członkiem, jesteś ziemianinem, powinieneś się poczuwać do jakiejś solidarności.

— Zdaje mi się, że mogę być bardziej użytecznym członkiem społeczeństwa, pracując tu u siebie, na roli, niż tracąc czas na bezcelowe posiedzenia.

Pan Karol wzruszył ramionami. Wiedział dobrze, że sprawa przegrana i nic nie zmieni już postanowienia sąsiada. Ale właśnie stanęli u celu. Szeroko i daleko w głąb rozlewała się różową plamą rola, pod siew przygotowana, czysta, równa, lśniąca w słońcu, wspaniała, urodzajna glinka. U brzegu, przy drodze, stał siewnik, już w czwórkę zaprzężony, gotów do pracy. Kasztany parskały niecierpliwie. Oczywiście pan Karol zwrócił zaraz na nie uwagę i podziwiał. Pan Jan cieszył się i raz jeszcze z sąsiadem oglądał je, badał i głaskał. Na drodze nudził się opuszczony wóz z workami jęczmienia. Ilko, starszy parobek, specjalista od siewu, rozgarniał w skrzynce siewnikowej ziarno, aby się równo sypało, a potem zamknął ją z hałasem, stanął na przodzie, przeżegnał się, bo zawsze każdą rzecz z Bogiem

zaczynał i krzyknął: „Wio“! Chłopak, trzymający lejce, pociągnął niemi lekko i wszystko z miejsca ruszyło ostro naprzód. Lejki zagłębiły się w miękką ziemię, roniąc jedno za drugiem ziarenka w rów= niutkich odstępach. Wyglądało to z dali, jakby rząd węży, zaczepionych ogonami o siewnik, rył głowami rolę. Co trzecie tylko radełko siało, bo siew był rzad= ki, w szerokie rzędy, systemem Lossowa.

Wszystko posuwało się naprzód z ogromną szybkością, za siewnikiem migały, jak dwie błyska= wice, gołe, proste łydki Maryśki, twarde, opalone i jędrne, jak cała ona sama, mocno w biodrach osa= dzona. Dziewka była na schwał i wprawiona znako= micie w chodzenie za siewnikiem. Gdyby miała sta= nąć do zawodów z Walasiewiczówną, wytrwałością= by ją pokonała. Trzymała patyk w ręku i pilnowa= ła lejków, aby się żaden nie zatkał, lub nie odmówił posłuszeństwa.

Sąsiedzi rozłączyli się. Pan Wyszymirski po= szedł raźno za siewnikiem, pan Przybyłowski, bar= dziej ociężały, wolał pozostać, usiadł na wozie i cze= kał. Pan Jan, muskularny, suchy i doskonały pie= chur, kroczył z prawdziwą radością naprzód. Zdjął czapkę. Jego kwadratowa, jasna głowa zarysowała się silnie na tle dalekiej przestrzeni pól. Mocno na= przód wysunięta szczęka zaciskała się w górę z wy= razem upornej woli, twarz okryła się rumieńcem podniecenia, a oczy, głęboko pod czołem osadzone, błyszczały jasno. Szedł i szedł w pościgu za mkną= cym naprzód zaprzęgiem, jakby gonił zwodniczą marę swoich ambicji. Zdawało mu się, że ją uchwy= ci, że ją już chwyta: oto plony jego są najlepsze w całym powiecie, w całej okolicy, ba, szeroko i da= leko w kraju! Jego konie są na pokaz, jego gospo= darka jest wzorowa, niesie krocie, stawiają go za przykład, sypią się wory złota, a on udowadnia

wszystkim naprzekór, że tak właśnie trzeba było gospodarować. Niech drwią sobie z niego, jeśli chcą, potem. I szedł i szedł z podniesionem czołem, chwytając mocno wiatr w płuca i rozdymając pierś. Oto przed nim rydwan jego tryumfalny, konie szybko ponoszą, trochę mu trudno wskoczyć na wóz i ująć lejce, ale wskoczy niebawem i przejedzie się, jak zwycięzca, pysznie, przed zdumionym tłumem.

A pan Karol siedział na wozie i czekał. Patrzył, jak niknął mu w dali siewnik z całą załogą, długa smuga kurzu unosiła się za nim i wydłużały brózdy, żłobione przez ciężkie koła.

— Kurzy się za siewnikiem, jak należy — myślał sobie. — Tylko siać tak rzadko, do djabła, to prawdziwe szaleństwo. Tak się czuł dziwnie psychicznie rozdrażniony ostatnimi czasy, że zaślepiony upór Jana gniewał go bardziej, niż kiedykolwiek. Wodził okiem po rozległym horyzoncie, po szmaragdowych łanach ozimin, palił papierosa i klął na całe to dziwne gospodarowanie.

Po chwili już wracał siewnik. Wspaniałe kasztany ciągnęły równo i szczerze, zgrzytały i jęczały lejki w tyle, a chłopak biegł prawie truchtem. Wkrótce pan Jan stanął naprzeciw pana Karola i chusteczką otarł spocone czoło.

— Ileż ty wysiewasz jęczmienia na morg? — spytał pan Karol.

— 25 kilo.

— A w jak szerokie rzędy?

— Po trzydzieści cm odstępu.

— A ile nawozu sypiesz?

— Lepiej nie mówmy! — uśmiechnął się pan Jan.

— Bój się Boga, człowiecze, co czynisz! Dzisiejsza praktyka wykazuje, że to się nie opłaca. Teorja

Lossowa, którą stosujesz, nie może się utrzymać w dzisiejszych warunkach.

— Dzisiaj nadaje się ona bardziej, niż kiedykolwiek. Dziś, kiedy i tak kosztuje nas produkcja nieproporcjonalnie wiele w porównaniu do cen, nie możemy sobie pozwolić na partaczenie, musimy się starać uzyskać plon jak największy, wycisnąć z ziemi, ile się da najwięcej. Oczywiście nawozy sztuczne i obróbka rzadkich rzędów kosztują bardzo dużo, ale też plony dają! Zresztą chodź, popatrz na moją pszenicę ozimą i osądź, czy kto drugi ma taką samą w powiecie!

Poszli kawałeczek dalej i stanęli przed wspaniałym zielonym kobiercem. Pana Karola ukłuła w serce przelotna zazdrość. Czegoś takiego rzeczywiście nie widywało się: grube, mięsiste wały pszenicy wyrastały u ich nóg, z początku wyraźnie oddzielające się jeden od drugiego, a potem dalej zlewające się w jedno morze zieleni, falujące i mieniące się matowymi odcieniami odwrotnej strony listków w jasnem świetle słonecznem.

— Rzeczywiście tę pszenicę można łatwo ocenić na 20 q z morgi — przyznał pan Karol.

— W zeszłym roku, jak wiesz, miałem z jednego łanu po 22 q.

Pan Karol pomyślał: Piękne zbiory, oby też i kieszenie pełne były! Jako bliski sąsiad bowiem wiedział doskonale, jaki był ciężki stan finansowy pana Wyszymirskiego. Ponieważ zaś, wobec takiej wymowy oczywistego faktu, nie mógł i nie chciał rozprawiać z sąsiadem i dowodzić mu, że to wszystko nie przyniesie materjalnych korzyści, wolał zmienić przedmiot rozmowy:

— Byłbym zapomniał ci powiedzieć, że Ładoś zorganizował akcję zebrania trochę nasienia dla Domeckiego, który, wystaw sobie, wysprzedał się ze

wszystkiego i nie ma czem dokończyć siewu! Chodzi jeszcze o owies i jęczmień. Czy mógłbyś coś ofiarować?

— Z największą przyjemnością służę kilku korcami owsa. Gdzie mam to odesłać? Bo do niego za daleko, koni mi szkoda.

— Wszyscy odsyłamy do Kamienobrodu do Domu Ziemian, ponieważ to najłatwiej przy okazji do miasta uskutecznić, a on sobie już stamtąd sam wszystko zabierze.

— Doskonale, jutro właśnie posyłam furmankę do Kamienobrodu, więc i owies zawieźć każę.

— Dziękuję ci serdecznie.

W godzinkę potem wracał pan Karol do Iwanówki i mówił sobie w duchu:

— Temu człowiekowi nic wytłumaczyć się nie da, szkoda wysiłku. Pędzi ku swojej zgubie, a zatrzymać go nie można. Szkoda go!

Próbny podój w Iwanówce.

Co dziesięć dni robiono w Iwanówce próbne podoje. Był 20 maj i właśnie taki podój się odbywał; pilnowała go, jak zwykle, praktykantka. Mimo wieczornej godziny, ciężki opar leżał w oborze, otworzono więc bramy na oścież, a w tej od dziedzińca siedziała Jula na małym stołeczku przed ogromną konwią blaszaną i przemierzała litrem mleko, które jej co chwila dojarki w skopcach przynosiły. Lał się szumisty, biały płyn po jej palcach, słodka para owiewała jej twarz.

Głęboko w oborze, za jej plecami, słychać było rozlazłe nawoływania dojarek:

— Nastąp, ta de, a szczob tebe pokrutyło! Nastąp Łysa! Nastąp Kałyna! — Uderzały po kłębach

krowy małymi stołeczkami, siadały na nich tuż pod wymieniem, szeroko rozstawiając nogi i trzymały skopce mocno kolanami.

Ćwit, ćwit — strzelało mleko dwoma białymi promieniami do skopca. Ćwit, ćwit — migało coraz szybciej, mocne garście trzymały ciepłe dojki i ściskały je równomiernie, naprzemian uderzając w wymię. Cu, cu, cu, szumiało już mleko i pieniło się w skopcu. Natura pracowała, życiodajny zdrój tryskał, a wyciskały go bezimienne, twarde ręce zapomnianych dojarek.

Jakaś krowa ryczała okrutnie za cielęciem, a cielę z klatki odpowiadało jej przeciągłem beczeniem. Kłębiło się w oborze od ciepłych, słodkawych woni i Jula wyciągała szyję, by zeczerpnąć trochę świeżego powietrza ze dworu. Mimo to, lubiła ten zapach i lubiła tę pracę, pełniła zawsze wzorowo swoje obowiązki i zdawałoby się na oko, że ją radosny zapał nie opuszczał nigdy. A jednak czuła, że coś się zmienia w niej, czy też w koło niej. Dawna wesoła beztroska ustąpiła miejsca pewnemu skrępowaniu. Zdawało się jej, że pani Alina jest dla niej mniej serdeczna, niż w początkach jej praktyki. Może to było tylko przewidzenie, że Antoś tak upornie zawsze od niej stroni, że pan Karol, jej szef, tak jakoś... nie, to ona sama czuła od pewnego czasu dziwne onieśmielenie wobec niego. Dlaczego? Kiedy dawniej z nim była taka swobodna! Coś stanęło między nimi, coś ją samą przytłacza, straciła zdrowy kontakt z otaczającym światem.

Ostatni raz przychodziły dojarki z mlekiem. W oborze uczynił się wielki gwar, z brzękiem opadały łańcuchy na ziemię i uwolnione krowy wychodziły na korytarz. Jula musiała się cofnąć, by zostawić przejście przez bramę, a krowy kłębiły się, cisnęły, skakały sobie na grzbiety i wylewały pstrą,

żywą rzeką na dziedziniec. Ponieważ upały zaczęły się w tym roku bardzo wcześnie, a gorąco w oborze było nieznośne, wypuszczano bydło na noc na ogrodzony okólnik za folwarkiem. Dwóch pastuchów, trzaskając biczami i nawołując głośno, wymiotło resztę krów z obory i stado oddaliło się z głuchym tupotem racic. Mrok gęstniał, na folwarku cichło, z dołu, od drogi, słychać było śpiew wracających z pola dziewcząt, dążących teraz na majowe nabożeństwo, które pod figurą Matki Boskiej w ogródku urządzała zawsze i niezmiennie w maju pani Alina.

Jula stała z zeszytem znowu w bramie, sumowała kolumny i podpisywała. Z głębi opustoszałej obory, od przeciwległej bramy, podszedł pan Karol, wracał z pola, w butach zakurzonych, z małą szpicrutą w ręku.

— Jakżesz tam wypadł próbny podój? — zapytał i stanął tuż obok niej.

Drgnęła i obejrzała się.

— Właśnie liczę — odrzekła, schylając z powrotem głowę. — Numer jeden — 13 litrów, numer dwa — 8 litrów, numer trzy — 18 litrów, numer cztery — zapuszczona, numer pięć — 10 litrów — wymieniała wolno, miarowym głosem. Tuż obok swojej czuła głowę pana Karola, który również patrzył do zeszytu. Jej włosy muskały jego czoło. — Numer sześć — 5 litrów, numer siedm — 20 i pół litrów, numer ósmy — zapuszczona, numer dziewiąty — zapuszczona — mówiła wolno dalej, coraz mniej pewnie. Coś ją ściskało za gardło, wszak to jego oczy! Podniosła głowę. Patrzył na nią. To mało, przeszywał ją wzrokiem, coś biło na nią od tego wzroku, od tej twarzy, z taką siłą, że cofnęła się o pół kroku i oparła o ścianę wewnątrz obory. Stała w cieniu, ale on był jeszcze w świetle, twarz jego jaśniała sama od siebie. I nagle poczuła na ustach swych coś gorącego, wil-

gotnego, w oczach jej pociemniało. Jego wargi wpijały się w nią, wżerały, wysysały, brały ją w posiadanie. Przyciśnięta mocno do ściany, niezdolna do najmniejszego ruchu, omdlewała bezbronna przed tą burzą namiętności, nie mogła tchu złapać. I nagle oderwał się od niej, przez oka mgnienie stał bezradny, z opuszczoną głową, a potem, zataczając się, wyszedł z obory w kierunku domu, trzymając obie ręce przy głowie.

Jula została w oborze, jak przykuta do ściany. Pulsa jej biły z taką siłą, jakby kto młotem walił. Kolana pod nią drżały, w głowie huczało jej, jak w hali maszyn, nie była zdolna cokolwiek myśleć, ale zdawało się jej, jakby powoli opadała przed nią jakaś zasłona:

— Ach, to więc to! Coś świta, coś wyłania się z ciemności. Więc to było to! Ależ to jest chyba...

Pan Karol, potykając się, szedł ku domowi. Ciemno już było, z trudem wchodził na stopnie ganku. Na trzcinowym fotelu ktoś siedział w cieniu, teraz wstał szybko i odszedł. To był Antoś, który nic nie widział, ale wszystkiego się domyślał.

Za chwilę bocznemi drzwiami, od kuchni, wbiegła Jula, poszła szybko schodami na górę, a po drodze powiedziała Heli, żeby jej kolacji nie przynoszono, gdyż głowa ją boli i zaraz chce się położyć.

Położyła się też, nie zaświecając światła i wtuliła głową w poduszki, ale nie spała i spać nie mogła. To, co przeżyła, wstrząsnęło do dna jej istotą. Było to najsilniejsze wrażenie, jakie kiedykolwiek w życiu odczuła. Choć miała już lat 24 i przeszła uniwersytet, kolegując z mężczyznami, jej zmysły i serce w całkowitem jeszcze pogrążone były uśpieniu. Zdawało się jej czasem, że nikt chyba nie potrafi już w niej obudzić żywszego uczucia. Była swobodna w obcowaniu z płcią przeciwną, koleżeńska w spor-

tach, nie znająca żadnej fałszywej pruderji, ale na wskroś czysta i zawsze zimna, mimo niejednokrotnych prób ze strony męskiej przełamania tych lodów. Dlatego to, co się stało teraz, oszołomiło ją zupełnie. Zrozumiała, że i jej godzina wybiła. Starała się koniecznie zebrać trochę myśli i uporządkować je. Teraz, kiedy miała już rozwiązanie dziwnej własnej zagadki i wyjaśnienie niezrozumiałego przed chwilą stanu swojego, chciała zdać sobie sprawę, kiedy to się zaczęło. Przebiegała myślą cały swój pobyt w Iwanówce.

Ale odpowiedzi znaleźć nie mogła. Niepodobieństwem było oznaczenie chwili. Wszystko szło tak powoli, wyrastało tak niespostrzeżenie. Od samego początku miała dla pana Karola szacunek. Jego spokój, zrównoważenie, takt, rozsądek i umiar we wszystkiem, były zaletami, które wysoce się jej podobały, ale powoli, przy obcowaniu z nim i codziennej pracy wspólnej, zaczęła je cenić coraz bardziej, nawet podziwiać. Jej hardej, zuchwałej naturze imponował ten człowiek o trwałej statyce. Dlatego wypełniała jego rozkazy coraz chętniej już nie z poczucia wzorowej służbistości i przyjętego dobrowolnie obowiązku, ale z prawdziwej przyjemności, odczuwała pewną radość w uleganiu mu, w poddawaniu się jego woli. Jednakże nie zauważyła dotychczas, że ta statyka pana Karola, która tak zdobyła jej duchową istotę, właśnie od pewnego czasu chwiać się zaczęła. Jego ręce drżały nieraz, gdy odbierał od niej pisemny raport, wydawał czasem rozkazy krótko, węzłowato, nie patrząc w jej oczy, obracał się na pięcie i odchodził natychmiast, a czasem był aż nazbyt uprzejmy.

Ile razy wyraziła jakie życzenie, natychmiast było spełnione, czy to chodziło o konia pod wierzch, czy o wyjazd do Wiszenki, gdzie ją często zapraszano.

Teraz te wszystkie szczegóły wracały jej tłumnie do pamięci i myśl o nich napełniała ją niezrównaną rozkoszą.

Wszystko było jej teraz jasnem, doskonale zrozumiałem: ona go kochała już od dawna i kocha... a on także — i on także! I taka szaleńcza radość napełniała jej pierś, że zdawało się jej, iż ją rozsadzi, przyciskała więc mocno ręce do łona, aby ją zatrzymać i zamknąć w sercu.

Zamykała oczy i czuła pocałunek jego, bezkresny w sile i trwaniu, na swoich wargach. Jeśli dotychczas tylko jej umysłowa i duchowa istota były przez niego opanowane, to teraz raptem zbudzone zmysły, skądś, aż z pragłębiny, wypłynęły na powierzchnię i zalały ją falą błogości i oczekiwania.

Nad ranem dopiero zasnęła znużona.

A co się działo z panem Karolem przez ten czas? Narzucił na siebie kurtkę i pod pozorem, że idzie na kontrolę, czy chłopi nie pasą koni na jego koniczynie i łąkach, wyszedł śpiesznie w chłodną noc. Ociężały — potrzebował teraz ruchu, nie lubiący zimna — szukał chłodu, szedł przed siebie bezmyślnie, aby tylko uspokoić rozedrgane do szaleństwa zmysły.

Nie rozumiał, jak ta mała mogła go tak omotać. Dotychczas nie znał innej kobiety w życiu, prócz Aliny. Był młody i niewinny, gdy się żenił, kochał żonę bez pamięci i ona mu zapełniła sobą cały świat uczuć i zmysłów. Nie pragnął i nie szukał nikogo więcej, aż tu raptem, jak z pod ziemi, staje przed nim taka mała, żywa istota i wszystko, wszystko w nim łamie i bierze go całego, bo już teraz widzi jasno, że nic poza nią niema dla niego znaczenia.

Alina? Alina jest zawsze ta sama, dobra, aż do znudzenia! Ileż razy spostrzegł się w ostatnich czasach, jak drażniła go jej niewyczerpana dobroć i pogoda. Chleb z miodem, kluski z mlekiem — myślał

zniecierpliwiony. Jaka rozlazła i miękka, a on potrzebuje twardych i jędrnych piersi Juli, smukłego, młodego ciała. On chce ją taką hardą i ostrą czasem. Mieć ją, co za rozkosz! I biegł prawie przed siebie, nie wiedząc, co się z nim dzieje.

Nazajutrz spotkali się w przedpokoju przed samym obiadem. Pierwszy raz Jula opuściła swoje obowiązki. Pan Karol stał w oknie, obrócony plecami do pokoju, może czekał na nią... Gdy zeszła ze schodów, obrócił się nagle i chwilkę stał przed nią zakłopotany, patrząc lękliwie w jej oczy. Jednak nie był pewny siebie, zachował się wczoraj bezsprzecznie zuchwale. Jak ona to przyjęła? Czy może mieć nadzieję, czy też zraził ją do siebie? Wszystkie te pytania zestrzeliły się w jego trwożnym, pokornym prawie wzroku.

Jula spojrzała i — uśmiechnęła się. I w tym uśmiechu zawierała się cała jej odpowiedź: darowanie, przyzwolenie, a nawet radosna wesołość. Pan Karol odetchnął głęboko.

— Dzień dobry pani — wyszeptał.

— Dzień dobry — odpowiedziała tonem prawie wesołym i przeszli do stołowego, gdzie już zbierali się wszyscy domownicy.

Jula odzyskała spokój i wesołość, błyszczała znowu, mówiła dużo, zaczepiała Antosia, przekomarzała się z Maryś. Pan Karol, jak zwykle, siedział milczący, tylko ukradkiem spoglądał czasem na Julę z podziwem.

(d. c. n.).

Amelja Łączyńska
